

Ks. Jan Szlaga

HOMILIA WE MSZY ŚW. ZA ŚP. KS. WOJCIECHA DANIELSKIEGO, W TRZYDZIESTYM DNIU OD ŚMIERCI, WYGŁOSZONA W KOŚCIELE AKADEMICKIM KUL, 24 STYCZNIA 1986

„A po tym wszystkim dziś już trzydziesty dzień, jak się to stało” (por. Łk 24, 21). Wydarzenia są jeszcze tak świeże, że wypada zacząć od kilku wspomnień, by przywołać tu ducha śp. Księdza Wojciecha Danielskiego. Chciałbym wspomnieć swoje trzy ostatnie spotkania z Księdzem Wojciechem. Pierwsze było pod koniec września. Zjawił się wtedy późnym wieczorem w Konwiktzie, pochylony bardziej niż zazwyczaj. Miało się potem okazać, że to już co najmniej od lata 1985 zaczęła dawać o sobie znać choroba, z której nie mógł wyjść zdrowy. Zabrakło go po raz pierwszy na Mszy św. akademickiej w dniu 1 października, kiedy to zawsze, od lat, czuwał nad przebiegiem liturgicznej uroczystości rozpoczęcia roku akademickiego i na ten właśnie dzień przygotowywał komentarze liturgiczne oraz modlitwę powszechną.

Drugie z moich ostatnich spotkań z Księdzem Wojciechem miało miejsce 13 października, w niedzielę, w szpitalu onkologicznym w Lublinie. Był już przykuty do szpitalnego łóżka. Wstawał i poruszał się z trudem, w każdym razie towarzyszyły temu straszliwe bóle kręgosłupa. Od dwóch dni, dokładnie od minionego piątku, czyli od 11 października, wiedział już, co to za choroba, że to nie, jak mu wcześniej mówiono, korzonki nerwowe. Ale nie tracił nadziei. Przeciwnie, usiłował przekrzyczeć swoją chorobę, bardzo dużo mówił, snuł wspaniałe plany. Spodziewał się, że skoro leczenie ma być dość długie, to na pewno wygospodaruje czas dla wyrównania zaległości. Mówił o hasłach dla „Encyklopedii Katolickiej” i o tym, że tyle zamierza zrobić dla swej pracy habilitacyjnej. Odwiedzającym go znajomym dawał na pamiątkę obrazki z wizerunkiem Ukrzyżowanego z Archikatedry Warszawskiej. „Popatrz — mówił — jak ludzki jest ten Chrystus w swoim cierpieniu”. Szukał sojuszników dla swego cierpienia. Wiedział, że dużo będzie potrzebował modlitwy, by nie zabrakło siły i męstwa. Prosił, by uczynić mu znak krzyża na czole. Przygotowywał się tym znakiem do wielkiego zmagania, jakie go czekało. A znaczyło to, że ten człowiek, tak aktywny, będzie musiał długo pozostawać w łóżku. Gorset nie wiele miał pomóc. Znaczyło to także: pokonał ból tak frontalnie zaatakowanego przez chorobę organizmu.

Po raz trzeci spotkałem się z Księdzem Wojciechem 20 grudnia 1985. Klinika Onkologiczna w Warszawie. „Widzieliśmy go powalonego cierpieniem” (por. Iz 53, 2—3). „Spodobało się Panu zmiążdżyć go cierpieniem” (Iz 53, 10). Już rzadko się budził. Widać było, że straszliwie cierpi. Nie mówił. Odmawiano przy nim, a więc także z nim, liturgię godzin. Trudna to była liturgia, bo łóżko było trud-

nym ołtarzem. Siostra szpitalna powiedziała wtedy, że jeszcze dużo będzie potrzebował kroplówek. Miało się okazać, że życia wystarczyło na cztery pełne dni, licząc od wspomnianego przeze mnie dnia. W Wigilię Bożego Narodzenia, o godzinie 15.45, kiedy już niebawem zaczynamy obchodzić w naszych domach najuroczystsze i najweselejsze święta, on zaczął żyć innym życiem. „Życie twoich wiernych, o Panie, zmienia się, ale się nie kończy” (prefacja żałobna).

Potem był ten paschalny, jak go wszyscy jednomyślnie i spontanicznie nazwali, pogrzeb. *In albis*. W białych szatach. Z paschałem. I ze świecami, które w pewnym momencie rozjarzyły się w bazylice, dając swym płomieniem znać, jak w uroczystą Wigilię Wielkanocną, że jest światłość Chrystusa, co opromienia każdego człowieka, o ile umiłuje światłość (por. J 1, 9). A było to w oktawie Bożego Narodzenia, kiedy obchodzimy uroczystość narodzin Nowej Światłości.

W swoim testamencie Ksiądz Danielski napisał m. in.: „Ojciec w niebie przyjął do końca, dosłownie, moje kapłańskie ofiarowanie siebie, kiedy wiedział, że to dobre dla Kościoła i Polski najlepsze”. Słowa te były pisane w czasie, kiedy zawsze dobrze je się wyważa. „Przyjął do końca” — dla Kościoła, dla Polski. Jeśli kogoś raził zbyt uroczysty czy pompatyczny ton tych słów, to sam Ksiądz Wojciech pomógł je zrozumieć liturgią swojego pogrzebu, którą przygotował, i nad którą czuwał. Odpowiada mianowicie słowami Apostoła Pawła z Listu do Rzymian (14, 7—9. 10b—12), które, jak w dniu pogrzebu, tak i dziś czytaliśmy: „Nikt z nas nie żyje dla siebie, i nikt z nas dla siebie nie umiera”. Żyjemy dla Pana i dla Pana umieramy. Ani życie, ani śmierć nie jest naszą prywatną sprawą. Życie jest służbą, a śmierć jest odwołaniem z tej służby. Ksiądz Wojciech został powołany do służby Kościołowi w Polsce i do samej służby Polsce — poprzez służbę Kościołowi młodych, poprzez rozliczne prace, które tak bardzo zbliżyły go do Pawłowego zatroskania o wiele kościołów. „*Sollicitudo omnium ecclesiarum*” (2 Kor 11, 28). Dużo, naprawdę dużo, było tej pracy, tym bardziej że przejął ją w bardzo trudnych okolicznościach. W naszym rozumieniu dobrze wypełnił swoje posługiwanie (por. 2 Tm 4, 5). Otom, Panie, przyniósł ci drugie dwa talenty, i drugie pięć. Dobrze, służył dobry i wierny, wejdź do radości Pana twego. (por. Mt 25, 20—23). Mówi nam Apostoł w dzisiejszym pierwszym czytaniu: każdy zda osobiście sprawę ze swego posługiwania. Czyżby mógł niekorzystnie wypaść ten rachunek, skoro Ksiądz Wojciech utożsamiał się ze swoją służbą, skoro miał radość z tego, że może służyć?

Widzieliśmy jego służbę życiu i służbę życiu. Kalendarzyk z napisem przeróżnych zobowiązań miał zawsze gęsto i długo naprzód zapisany. „*Sollicitudo omnium ecclesiarum*...” Służył swoją roztropnością i inteligencją, umiejętnością syntezy. Chętnie korzystaliśmy z jego rad i przemyśleń. A jak dojrzałe były one w jego homiliach! Zaglądam do jego życiorysu: matura w 16 roku życia! Tam już był

jakiś znak, że musi żyć szybko, intensywnie. „Consummatus in brevi explevit tempora multa” (Mdr 4, 13). W krótkim czasie stał się doskonały i przeżył czasów wiele. Uczelnia cieszyła się jego doktoratem. Wzmocnił wtedy kadre dydaktyczną sekcji liturgiki Wydziału Teologicznego KUL. Powierzono mu też wówczas funkcję wicedyrektora Konwiktu Księży Studentów KUL. To była głównie jego zasługa, że kaplicę Konwiktu przystosowano do wymogów liturgii posoborowej. Przygotowywał rozprawę habilitacyjną. Tyle już było zebranych materiałów! Tak radośnie o tym mówił, jak o dziele prawie gotowym. Trzeba było jeszcze te wszystkie materiały zredagować. Zabrakło czasu, a może już znacznie wcześniej zdrowia zaczęło brakować? Stał się za to *habilis* dla królestwa Bożego. Wypełnił czasów wiele, choć była to dopiero połowa dni jego. Za Izajaszem (38, 10—20), słowami kandydu Ezechiasza, tak możemy mówić o ostatnich dniach Księdza Wojciecha:

„Jak tkacz zwinąłem swe życie,
a Pan jego nić przeciął.
Od świtu do nocy kres mi położysz.
Krzyczę do rana.
On jak lew miażdży wszystkie me kości.
Zmęczone są me oczy od patrzenia w górę;
Panie, stań przy mnie, bo jestem w ucisku”.

„Popatrz, jak ludzki jest Chrystus w swoim cierpieniu”. A teraz trzeba by to uzupełnić: Popatrz, jak boski umie być człowiek w swoim cierpieniu. Umiłowanie cierpienia jest umiłowaniem najtrudniejszej drogi życia. „Ojciec w niebie przyjął do końca, dosłownie, moje kapłańskie ofiarowanie siebie”. Nie łatwo jest się dać, tak do końca ofiarować. Z myślą o tym zmagał się nawet Chrystus: „Ojczy mój, jeśli to możliwe, niech mnie ominie ten kielich” (Mt 26, 39). Nie miał ominąć! Na szpitalnym łóżku to szczególne ofiarowanie siebie miało się ziścić. Tak powstał przepiękny rozdział jego kapłańskiej służby. Ze szpitala, na początku grudnia, posłał tekst modlitwy powszechnej na pogrzeb księdza, zdaje się, swego rówieśnika. To piękny znak trwania w kapłańskiej służbie. Był przy tym mistrzem w kompozycji modlitw powszechnych, które za każdym razem były literacko piękne, a pod względem treści stanowiły zwięzłą teologię dnia, którego przesłanie zamykał w ich strofach.

Za to wszystko, czym służył, chcemy dziś Ojcu Niebieskiemu podziękować — w liturgii dziękczynienia, czyli w Eucharystii. *Eucharistoumen, Kyrie!* Za jego umiłowanie człowieka, za jego umiłowanie liturgii, za jego umiłowanie domu Bożego. Za to także, że w murach tej świątyni, przed dwudziestu laty, był jednym z najbardziej zapalonych i świadomych wykonawców woli Soboru Powszechnego, aby liturgia stała się czytelna dla dzisiejszego człowieka. To właśnie tu

formował pierwsze eucharystyczne koncelebracje, to tu, między innymi tu, za jego sprawą, tylu wiernych umiłowało liturgię, i piękno domu Bożego, i Boga, co w znakach sakramentalnych nieustannie zbliża się do człowieka.

Zostawił nam na dzień dzisiejszy tę samą, co w dniu pogrzebu, Ewangelię (J 17, 24—26) z fragmentem arcykapłańskiej modlitwy Jezusa: „Ojcze, chcę, aby także ci, których mi dałeś, byli ze mną tam, gdzie ja jestem”. A dalej — „Objawiłem im twoje imię i nadal będę objawiał, aby miłość, którą ty mnie umiłowałeś, w nich była i ja w nich”. To jest też testament. Najpierw był to testament Jezusa. Zapamiętajmy te słowa. Idziemy przecież tą samą drogą i w tę samą stronę.

Gromadzimy się dziś w znaku modlitewnej pamięci, w znaku miłości, w znaku Eucharystii. Usiłujemy odczytać znak cierpienia Księdza Wojciecha i znak jego śmierci, która przyszyła tak wcześnie, w połowie dni jego. Gromadzimy się w znaku wdzięczności za jego kapłańskie ofiarowanie się Ojcu Niebieskiemu, całkowicie i do końca. W trzydziestym dniu od jego śmierci znów z nim sprawujemy liturgię, z nim, choć on jest już po drugiej stronie. Tym owocniejsza jest ta liturgia! Tam, po drugiej stronie życia, jest nowa liturgia, bo nowe jest Jeruzalem. I wszystko jest nowe. Mówi Jan w Apokalipsie (21, 22): „A świątyni w nim nie dojrzałem; bo jego świątynią jest Pan Bóg wszechmogący oraz Baranek”.

Długi kondukt na Cmentarzu Powązkowskim w Warszawie symbolizował tę apokaliptyczną drogę do nowego Jeruzalem. I na nową liturgię! Ten kondukt był też paschalny, również w bieli. *In albis*. I na świeżym, czystym śniegu. —

„Lody i śniegi, błogosławcie Pana,
chwalcie i wywyższajcie Go na wieki” (Dn 3, 70).

Lublin

KS. JAN SZLAGA